Czeczott Ks. O wpływie kobiety na moralność

KS. W. CZECZOTT

O WPŁYWIE KOBIETY NA MORALNOŚĆ

w literaturze i społeczeństwie

Warszawa, 1917
Tłocznia „Polaka-Katolika", Krak.-Przedmieście 71

KS. W. CZECZOTT

O WPŁYWIE KOBIETY NA MORALNOŚĆ

w literaturze i społeczeństwie

Warszawa, 1917
Tłocznia „Polaka-Katolika“, Krak.-Przedmieście 71

Nihil obstat

Varsaviae, die 17 Aprilis 1917 a.

I. Kłopotowski
Censor

№ 1112

IMPRIMATUR

Varsaviae, d. 17 Aprilis 1917 a.

Judex Surrogatus
Praelatus Metrop. *Leopoldus Łyszkowski.*
Secretarius *V. Piotrowski.*

Geprüft und freigegeben
Presseverwaltung Warschau, d. 5/IV 1917. № 5105

I.

Było to przed dwudziestu kilku laty. Jeden z klownów cyrkowych w Warszawie, Tanti, wystąpił z głupim konceptem mniej więcej tej treści: „Bawiąc w Moskwie, zaszedłem do ogrodu, spotkałem panienkę i dałem jej całusa. Ona mi na to policzkiem odpowiedziała.

„W Warszawie zrobiłem to samo w Saskim ogrodzie, ale ku wielkiej mojej radości, panienka uprzejmie drugi policzek dla pocałunku nadstawiła“.

Nazajutrz zawrzało w warszawskiej prasie. Społeczeństwo poczuło się zelżonem w osobie tej fikcyjnej panienki, na którą błazen cyrkowy ośmielił się rzucić cień lekkomyślności. Postanowiono bojkotować cyrk, tak aby noga Polaka, a zwłaszcza Polki, czującej swą godność, tam nie postała.

W tem nawoływaniu do bojkotu ówczesna władza administracyjna w Królestwie upatrzyła ni mniej ni więcej jeno manifestacyą patryotyczną i skazała na grzywny, do 2,000 rb. dochodzące, te organa prasy („Kłosy“, „Tyg. Ill.“, „Kuryer Warszawski“ i parę innych), które w polemice udział wzięły; chociaż, jak wiadomo, w owym czasie każdy numer czasopisma, wychodzący z druku, musiał być opatrzony aprobatą cenzora, więc jeśli kogo, to jego za niedbałe spełnianie obowiązku ukarać należało.

Dziś, z odległości ćwierćwiecza patrząc na incydent z Tantim, możemy postawić pytanie: czy nie zbyt wiele wagi przywiązano do rzeczy błahej? czy głupstwo, wypowiedziane przez błazna cyrkowego, mogło obrazić godność narodową? czy wogóle on sam miał wyraźną intencyą zelżenia nas?—Jakkolwiekbądź, ta drażliwość i pochopność do protestu przeciw temu, co społeczeństwo słusznie czy niesłusznie za ujmę godności swej poczytywało, było dowodem, że ma silne tej godności poczucie.

Tak było ongiś. A dziś?

II.

Przed kilkunastu laty zjawił się autor, dotąd piszący po niemiecku, aczkolwiek z urodzenia i nazwiska Polak, Stanisław Przybyszewski, który jedną, jedyną tylko zmysłowo-erotyczną nutę przeprowadzal przez różne waryanty na scenie i w beletrystyce, pod mianem nagiej duszy, i tą plugawą strawą począł karmić publiczność, która tak niedawno jeszcze umiała odczuwać piękno tragedyi Słowackiego i Szekspira, w mistrzowskiej interpretacyi Modrzejewskiej, Królikowskiego i Rapackiego.

Jakże się ta publiczność znalazła wobec nowego prądu, importowanego z Zachodu? Czy oburzyła się na autora, który, zamiast ją podnosić, uszlachetniać, krzepić za pomocą sztuki wzniośle i poważnie pojętej, do najniższych przemawiał instynktów i brukał sztandar sceny narodowej? Czy zwłaszcza niewiasty polskie poczuły się dotkniętemi w czci sobie należnej? czy przestały uczęszczać do teatru, gdzie ich tak nieodpowiednią karmiono strawą, obrażając szanowany dotychczas, a wrodzony każdej niezepsutej niewieście wstręt do wszelkich brudów, tak moralnych jak fizycznych? Czy dały wyraz swemu oburzeniu, jakim protestem lub bojkotem?

Boć przecie obelga i krzywda moralna, wyświadczona przez autora, którego poważny odłam krytyków uważa za koryfeusza literatury, za wyobraziciela swej epoki i swego społeczeństwa, za subtelnego znawcę duszy ludzkiej, a zatem i polskiej, powinna była być stokroć dotkliwszą od niedorzecznego wybryku klowna, który zbyt daleko stał od nas, iżby wypluta przezeń ślina mogła nas dosięgnąć. A przytem publiczność, uczęszczająca do Teatru Rozmaitości, winnaby posiadać bardziej wykwintny smak, bardziej wyrobione poglądy od cyrkowej.

Na wszystkie te pytania, niestety, musimy dać przeczącą odpowiedź!

O ile wiemy, nie ozwał się żaden głos karcącej lub ostrzegającej krytyki. Publiczność uczęszczała tłumnie na dramata Przybyszewskiego, matki prowadziły na nie swe córki, bo tego wymagała moda, bo recenzenci chwalili artyzm, plastykę, język autora, pomijając całkowicie względy natury moralnej; a jeśli w czyjemś, mniej odurzonem sumieniu, powstała wątpliwość, czy właściwem jest chodzić na takie sztuki, obawa odróżnienia się od tłumu, ściągnięcia na siebie zarzutu pruderyi i zacofania nakazywała milczenie.

Na tle tego milczenia tem głośniej, tem swobodniej rozlegały się oklaski i okrzyki tak jaskrawe, że sprawozdawca teatralny jednego z najpoczytniejszych dzienników przyrównał je do... ryków!!! Pisząc bowiem o przedstawieniu „Złotego Runa“, miał zuchwalstwo tak się wyrazić: „W Złotem Runie Przybyszewski przedstawił nam *kobietę-samicę* i zapewne z tego powodu rozentuzyazmowane panie *ryczały*“ (sic!)!

Nie cytuję dosłownie, bo odnośnego numeru pisma nie mam pod ręką, ale treść dobrze zapamiętałem jako też podkreślone przezemnie wyrazy. Odczytywało je kilkadziesiąt tysięcy

rodzin, a młodzież oswajała się z cynicznym tonem, stosowniejszym dla stajni i toru wyścigowego, niż dla salonów, gdzie powyższe pismo było rozpowszechnione. Tym sposobem zacierało się powoli poczucie tego, co uchodzi lub nie uchodzi w przyzwoitej prasie.

Obojętność i apatya czytelników wobec takich faktów dowodzi smutnego zaniku poczucia moralnego, do którego ich utwory Śnieżko-Zapolskiej, Nowaczyńskiego i Żeromskiego doprowadziły.

III.

Na tak osłabiony moralnie organizm narodu spadła, jak burza, tak zwana era wolnościowa. Pamiętamy wszyscy ten chaos, to odurzenie, jakie owładnęły społeczeństwem, tak długo trzymanem w niewoli, kiedy niespodzianie zerwano jego pęta i powiedziano: jesteś wolne! kiedy długo krępowane myśli i słowa mogły być otwarcie i publicznie wypowiadane, pisane, drukowane! Każdemu się zdawało, że powołany jest na mistrza i apostoła ludzkości, że wolność na tem zależy aby mówić i robić wszystko, co się komu podoba, aby nie uznawać żadnej powagi, aby chwytać i pod firmą postępu wprowadzać w życie wszelkie nowe, choćby najbardziej jaskrawe hasła. Nie zastanawiali się ludziska nad tem, że co innego rzetelna wolność, a co innego swawola, — co innego samorząd, a co innego bezrząd (anarchia)—że nie wszelka nowość jest postępem. W szale i upojeniu zapomnieli, że są prawdy wieczne i niewzruszone, których żaden postęp obalić nie potrafi, bo na nich opiera się tak szczęście człowieka pojedyńczego jak dobrobyt państw i narodów, — że nadwerężenie tych podwalin grozi zniszczeniem kultury i cofnięciem się wstecz do stanu pierwotnego barbarzyństwa.

Kiedy garstka młodzieży szkolnej użytą została przez niewiadomą, ale wcale nie przy-

jazną nam rękę, do ogłoszenia ogólnego bojkotu szkół rządowych, rodzice, zebrani na pierwszy wiec publiczny, skapitulowali przed młodzieżą (a raczej dziatwą, bo największa liczba była oczywiście sztubakami klas niższych); parę głosów przeciwnych zakrzyczano; w prasie nikt nie zaprotestował, choć było do tego tyle powodów!

Nie można się dziwić, że malcom ostatecznie w głowie się przewróciło, że poczęli się uważać za bohaterów, za kierowników nawy ojczystej kiedy to im wyraźnie wmawiali tacy Niemojewscy na publicznych i prywatnych odczytach.

Z drugiej strony rodzice nie zwracali uwagi, że taka ich kapitulacya przed samowolnem postanowieniem dziecka niweczyła w zarodku wszelki dalszy wpływ na nie, usuwając podwalinę wszelkiego racyonalnego wychowania—karność i posłuszeństwo, Kto o tem pomyślał, nie miał odwagi głośno tego wypowiedzieć z obawy, aby go za zdrajcę kraju nie ogłoszono.

Zanim doczekaliśmy się szkoły polskiej, młodzież szkolna odwykła od systematycznej pracy, a nie mając co robić, poczęła wałęsać się po ulicy, uczęszczać do kawiarni, zapełniać teatry, oblegać estrady odczytowe, z których rozlegały się wymowne głosy postępowych mężów i niewiast—o wolnej miłości, o reformie małżeństwa, o wszelkiego rodzaju emancypacyach i tym podobnych nęcących hasłach.

Wytworzył się w owych czasach osobny sport, wiecowaniem nazwany. Po odczycie lub referacie rozpoczynały się rozprawy, w których każdy z obecnych miał prawo brać udział. Tym sposobem paradoksom i nonsensom jeszcze szersze otwierano pole. Jeśli występujący z odczytem, bądź co bądź choć trochę nad kwestyą zastanowić się musi, to tego

od publiczności słuchającej spodziewać się nie było można: każdy występował, gadał, rozprawiał, gdy miał ochotę po temu, a że publiczność nie z filozofów, ani moralistów, ani wytrawnych socyologów się składa, — rozprawy te służyły do szerzenia fałszu i niedorzeczności.

Na jednym wiecu — córek czy dziewcząt — pan Niemojewski wprowadził na estradę 14-letnią córkę swoję, która przed zebraną publicznością żaliła się—naturalnie na obecnych tam rodziców—że despotyzmem ich skrępowana jest w swojej indywidualności „bo jej nie pozwalają do chłopców chodzić“ itd. Widocznie ten przedwczesny krytycyzm w ustach podlotka musiał radować serce ojca, kiedy się z czemś tak potwornem zapragnął popisywać.

A dodajmy, że na wiecach poruszano najdrażliwsze przedmioty, i to w sposób tak cyniczny i brutalny, że felietonista „Kuryera Warszawskiego“, p. Rabski, oświadczył, iż nic podobnego na najgorszego gatunku zebraniach, na których zagranicą bywał, nie widział. Smutne zaiste świadectwo z ust niepodejrzanych.

Otóż na te wiece, obok przeważnego zastępu żydówek, uczęszczały podlotki obojej płci, a gdy jeden z prefektów szkół w Warszawie (X. Popławski—jeśli się nie mylę) podniósł okrzyk oburzenia na takie gorszenie młodzieży, odpowiedziano mu, że te dysputy nie są dla młodzieży przeznaczone, a jeśli takowa na nich bywa—to wina rodziców, że na to pozwalają.

Jest w tej odpowiedzi część słuszności. W istocie obowiązkiem rodziców—strzedz dzieci swoje od złych wpływów, ale najprzód trzeba, żeby dzieci rachowały się ze zdaniem rodziców, i uznawały ich powagę, a powtóre w tem bieda, że szał powszechny i rodziców umysły ogarnął.

Znałem najzacniejsze matki, które uważały za obowiązek bywać na wszystkich wiecach i odczytach, aby śledzić za duchem czasu, aby poznać nowe prądy i wpływać na swoich synów. Nie mogły zrozumieć, że są odczyty, których sam tytuł pokazuje, że nie są to przedmioty, które publicznie poruszać można, zwłaszcza kiedy osoba prelegenta powagą, wiekiem i nauką nie tylko nie daje rękojmi, że traktować rzecz będzie poważnie i uczciwie, ale przeciwnie, znana jest ze skrajności swoich poglądów. Nie mogły zrozumieć, że Polka i katoliczka nie powinna obecnością swoją zaszczycać i poniekąd popierać zebrań, na których tematy, ściśle związane z etyką katolicką, jak małżeństwo, rozwody, wychowanie macierzyńskie, roztrząsać mają żydzi i bezwyznaniowcy.

Co się na tych wiecach i zebraniach działo to, oprócz zacytowanych powyżej słów p. Rabskiego, ilustruje potworny fakt, jaki się wydarzył w Filharmonii Warszawskiej na jakimś odczycie Przybyszewskiego.

Nie jest to tajemnicą dla nikogo, że ten ostatni do bractwa trzeźwości nigdy nie należał i w alkoholu często natchnienia szuka. Tym razem zjawił się na estradzie w takim stanie, że mu się język plątał i publiczność rozumieć go nie mogła. Na domagania się z jej strony głośniejszego czytania, zniecierpliwiony prelegent wstał, cisnął rękopis na ziemię, a publiczności rzucił w oczy wyraz: Bydło!—czy nawet, jak niektórzy utrzymywali, coś jeszcze gorszego, czego nawet powtórzyć nie można, i chwiejnym krokiem opuścił salę.

Dla uratowania sytuacyi orkiestra zaczęła grać walca, pod dźwięki którego zjawiło się kilka feministek, niosących olbrzymi wieniec z kwiatów z napisem: „Ecce homo!—To bezecne i tak niedorzeczne, zwłaszcza w owej chwili, bluźnierstwo nie wywołało wśród publiczności

żadnego wrażenia, prócz... wesołości (sic), a następnie wzmianki w paru dziennikach o „niewłaściwym i przykrym incydencie“.

Nie znalazł się nikt, ktoby zdarł z wieńca bluźnierczy napis!

A jednak publiczność, zebrana w Filharmonii, nie mogła się składać wyłącznie z żydów i bezwyznaniowców; musieli tam być i chrześcijanie, którzy milcząc patrzyli, jak lżą Chrystusa!—Jakie to znamienne, a jak przerażająco smutne!

Incydent w Filharmonii był tylko pierwszym wzlotem próbnego balonu, zapowiadającym że się rozpoczyna walka otwarta na terenie wiary.

Zrazu tylko jedna „Prawda“ dzierżyła monopol kultury antychrześcijańskiej, a zatem i antypolskiej. Wkrótce przyłączyły się dwie nowe odkryte placówki niewiary: „Myśl Niepodległa“ i „Kultura“, a obok nich prasa żydowska, która po zrzuceniu maski asymilacyjnej dzielnie im dopomaga.

Doczekaliśmy się tego, że na estradach odczytowych żydzi ośmielają się lżyć świętości nasze, jak Belmont zestawiając Chrystusa z Judaszem, jak Wassercug rozprawiając o Dziewicach-Matkach, jak Mondszein *) trawestując cynicznie Modlitwę Pańską. A obok nich gorszy może i niebezpieczniejszy, bo wróg domowy, anty-chrześcijanin—Niemojewski! **)

---

*) Został on przez prokuratoryą pociągnięty do sądu i ukarany.

**) Słuszność każe przyznać, że od roku „Myśl Niepodległa“ radykalnie zmieniła swój kierunek! Spotykamy tam artykuły, broniące kościoła i wiary, które przez każdego kapłane podpisane być mogą. Obok jednak tego zwrotu ku katolicyzmowi nie przestaje p. Niemojewski szukać wyjaśnień Ewangelii w mętnych astrozoficznych teoryach, które już raz doprowadziły go do zaprzeczenia samego istnienia Zbawiciela świata. Okoliczność ta nie daje rękojmi, że nawrócenie autora jest szczerem, a będzie trwałem. Ten, kto się przekonał, że przez lat kilkadziesiąt błędną szedł drogą, i błę-

A największy srom i hańba w tem, że katolicy na te odczyty chodzili, gościnnie prelegentom sale swoje wynajmowali, recenzye o nich bez oburzenia w czasopismach czytali i rozprawiali, jako o rzeczy zwyczajnej.

Kiedy Zarząd Muzeum Przemysłu i Rolnictwa zapowiedział, że odmawia sali swej na podobnego rodzaju wykłady, pseudo-liberalna prasa napiętnowała ten czyn samoobrony przed zalewem wrogich żywiołów mianem fanatyzmu i zacofania, a oburzenie swoje wyraziła w formie protestu, który podpisało grono wolnomyślnych, t. j. zżydziałych, pań i panów.

Więc aż do tego stopnia doszedł zamęt pojęć, że nietylko mamy spokojnie patrzeć jak depcą nasze najdroższe ideały, ale jeszcze obowiązkiem naszym uprzejmie otwierać drzwi swych domów przed tymi, którzy się tej niecnej podjąć chcą roboty.

Jakże głęboki upadek i poniżenie z jednej; jaka buta i arogancya z drugiej strony!

IV.

Cóż wobec tego mamy czynić? Azali tylko bezradnie biadać i czekać, aż nas piętrzące się fale pochłoną?—Nie daj tego Boże!—trzeba się ocknąć z dotychczasowej martwoty i stanąć do walki w obronie naszych rodzinnych, domowych, religijnych i narodowych ideałów. Na wszystkich tych polach walczyć musimy. Ale jaką bronią? — Oczywiście tą samą, jaką nas przeciwnicy biją: solidarnością, konsekwencyą, odwagą przekonań, gotowością do ofiar. Wrogowie nasi idą ławą, nie znają co

dy swoje szerzył we wszystkich warstwach narodu powinien się poczuwać do obowiązku naprawienia ciężkiej krzywdy, jaką wyrządził ojczyźnie podrywając moralne podwaliny jej życia, i mieć odwagę publicznie w druku potępić swą dotychczasową działalność, a wydawnictwa swe — o ile się da — wycofać z obiegu.

Dotychczas tego nie zrobił — i dlatego za nawróconego Szawła uważać go jeszcze nie możemy.

to ustępstwo, nie żałują gardła, pióra i pracy osobistej, aby swoje zdanie przeprowadzić. W tem ich i my naśladować mamy.

Przedewszystkiem należy wyrobić w sobie przekonanie, że niedość siebie od zarazy strzedz, należy jeszcze ją zwalczać, przekonania swoje czynnie i publicznie przy każdej sposobności manifestować.

W tym celu proponuję zawiązanie ligi w obronie przyzwoitości, cnoty i wiary, a oddaję takową wyłącznie w ręce niewiast, już dlatego samego, że tu o cześć niewieścią chodzi. Przecie nie kto inny, jeno niewiasta polska, jest nietylko przenośnie się wyrażając, kapłanką domowego ogniska, ale, wedle wyrażenia O. Ventury, rzeczywistym rodziny *kapłanem* (sic!).

Ona to bowiem w narzeczonym, a następnie mężu najłatwiej rozżarzyć potrafi spopielałą iskrę wiary. Ona, ucząc dzieci pacierza i katechizmu, rzuca pierwsze nasiona tej wiary, na której następnie kapłan wznosi gmach katolickiej kultury, a która nieraz po długich latach obłędu i szału nowe na starość wypuszcza latorośle. Ona, jako pani domu, zgromadza domowników na wspólne pacierze, ozdabia ołtarzyki, urządza majowe i czerwcowe nabożeństwa i tym sposobem zacieśnia nici, łączące w jednej wierze i mowie wszystkie stany, pomiędzy które tylu kości niezgody rzucać usiłuje. Ona, przechowując zwyczaje narodowe, zaszczepia w dziecko miłość ojczyzny. Ona ze sfery czysto domowej rozciąga swój wpływ na stosunki społeczne, a urządzaniem przytułków, szpitali, żłobków, szkółek i ochronek—których pomyślnego rozkwitu bez udziału niewiasty wprost wyobrazić sobie nie możemy—dalej tę pracę prowadzi.

To wszystko, co tu pobieżnie wyliczyłem, przeważnie odnosi się do posłannictwa niewiasty na wsi; to wszystko mniej więcej, o ile

warunki miejscowe dozwalają, spełnia się, choć może nie wszędzie i niedość gorliwie. Niepotrzeba do tego osobnej ligi—tylko przypomnienia.

Ale to jest tylko praca *przechowywania* religijno-narodowej tradycyi i obyczaju. Trzeba jeszcze tego skarbu *bronić* i *czystości jego strzedz*, poza domem — a ta druga połowa pracy spada na dolę niewiast, zamieszkałych w mieście, wciągniętych w wir społecznego życia, stojących bliżej źródła tej kultury, którą miasta prowincyą obdarzają.

Zadaniem ich czujnie stać na czatach, dawać sygnał alarmu, a nawet i walki. Strzedz czystości rodzimej kultury może tylko ten, kto jest sam dobrze uświadomiony, na czem ona polega. Stąd wypływa obowiązek poznania i ukochania przeszłości naszej dziejowej, a przedewszystkiem pogłębienia w sobie zasad katolicyzmu, który był i będzie zawsze tej przeszłości podwaliną i cementem.

Dotychczas z bardzo nielicznemi wyjątkami ogół naszych niewiast w dzieciństwie uczy się katechizmu i historyi polskiej, jużto w domu, jużto w szkole, *zewnętrznie* wychowane są po polsku i po katolicku; jednostek w rodzaju pani Bujwidowej, Izy Moszczeńskiej i paru innych w rachubę brać nie potrzebujemy. A jednak nie bez myśli podkreśliłem wyraz *zewnętrznie:* dużo bardzo jest u nas pobożności, opartej na zwyczaju, na temperamencie i skłonności osobistej, a obok tego brak konsekwencyi w sądach i w życiu; mało bardzo czynnego katolicyzmu.

I temu nawet dziwić się nie można. Swiat, otaczający inteligentną jednostkę — rozmowy, książki, dzienniki, które czytać niejako jest zmuszona—rzadko kiedy liczy się z zasadami katolicyzmu. Ogół idzie za prądem modnym, powszechnym, przeciw któremu płynąć trzeba,

i prawie zawsze samotnie, bez sprzymierzeńców.

Pod wpływem więc otoczenia ten pogląd słabnie i zanika zupełnie, jak światło w lampie, do której przestano dolewać oliwy. Pogłębianie więc i uzasadnianie zasad wiary, a przez to wyrabianie w sobie należytej odporności—będzie pierwszym obowiązkiem niewiasty, pragnącej do ligi naszej należeć.

Związek Kobiet Katolickich który od lat paru organizuje kursa, poważnie traktujące dogmatykę, etykę i historyą Kościoła, ułatwia spełnienie tego obowiązku.

Nie wdając się w wyliczanie dzieł pomocniczych, polecilbym wszystkim na pierwszy raz przeczytać dzieło O. Gallerani'ego, spolszczone przez O. Aleksandra Mohla pod tyt. „W pogoni za prawdą", 4 tomy, do których p. Jeske-Choiński dodał 5-ty. Jest to zbiór luźnych artykułów z dziedziny filozofii, teologii i historyi, przystępnie traktowanych, z uwzględnieniem przeważnie kwestyi aktualnych. Niechaj rozmiary tego dzieła nikogo nie przerażają: niema potrzeby czytać go od początku do końca; każdy ze spisu treści może wybrać to, co w danej chwili go zajmuje, i zaglądać do książki w miarę potrzeby.

Powtóre w każdym domu powinno być przynajmniej jedno pismo otwarcie katolickie, przez które można byłoby utrzymywać kontakt ciągły z życiem Kościoła na całym świecie, a sprawy bieżące w oświetleniu katolickiem oceniać *) Odczytywanie, a chociażby tylko systematyczne przeglądanie takiego pisma będzie podtrzymywało i ożywiało poczucie ducha katolickiego.

Jest to obowiązek najprzód osobisty, ale w rodzinie nabiera on podwójnego znaczenia

*) W Warszawie po zawieszeniu tygodnika „Przegląd Katolicki", „Polak Katolik" jest jedynem takiem jawnie zdeklarowanem pismem codziennem.

przez wpływ, jaki siostra na brata, żona na męża, matka na syna wywrzeć może.

W miarę, jak ten syn z dziecka staje się młodzieńcem, coraz bardziej wymyka się z pod tego wpływu, choć go właśnie wówczas najbardziej potrzebuje. Postawienie między nim a sobą pośrednika, jakim jest książka, a choćby nawet artykuł dziennikarski, poważnie i rozumnie napisany, przenosząc dysputę ze sfery osobistej na szersze pole zasadniczej polemiki, w wielu razach trafi prędzej do celu, oszczędzając z jednej strony miłość własną młodzieńca, a z drugiej — przedstawiając mu systematycznie zebrane i uporządkowane dowody strony przeciwnej.

Wskazanie takiej książki lub artykułu, ewentualnie odczytanie go przy wieczornej herbacie i wywołanie dyskusyi jest najprostszym sposobem spełniania misyi niewiast, o której mówimy.

Wiadomo że najlepsze ziarno, nawet na dobrej glebie, nie wyda owocu, jeżeli dozwolimy chwastom je zagłuszyć. Tem się tłumaczy, że młodzież pobożnie w domu wychowana, wyszedłszy w świat, tak prędko wiarę traci lub chwiać się w niej zaczyna, skoro zetknie się z chaosem zdań i teoryi przeciwnych. Zapobiedz temu i dziecka pod kloszem trzymać nie możemy, tak jak nie możemy ustrzedz absolutnie mieszkańca miast od wchłaniania w siebie miazmatów i mikrobów chorobotwórczych. Ale mozemy i powinniśmy ratować się hygieną domową i antyseptyką.

W zastosowaniu do naszej kwestyi, hygieną domową będzie otoczenie dziecka, a następnie młodzieńca: książki, jakie będzie czytał, albo które będą walały się po stołach; obrazy i posągi, na których spoczywać będzie wzrok jego, rozmowy, jakie się obijać będą o jego uszy.

Pospolicie zbyt mało na to wszystko zwracamy uwagi; przez długi czas łudzimy się przypuszczeniem, że dziecko nie rozumie rozmowy, którą w jego obecności prowadzą starsi, a potem wmawiamy w siebie, że już jest uświadomione, że niema poco się przed niem ukrywać, a raczej nie wmawiamy w siebie nic, — po prostu nie myślimy o tem. Jeżeliśmy naukę religii powierzyli bonie lub nauczycielce, a następnie oddali dziecko do szkoły, w której jest wykład religii, -- sądzimy, że wszystko w porządku. Zbyt lekkiem sercem zwalamy cały obowiązek religijnego kształcenia duszy dziecięcia na prefekta, czyli kapelana szkół, który mając nieraz 50—80 uczniów w klasie, nie jest w możności każdego wybadać, poznać, za rozwojem jego myśli śledzić; koniecznie zatem winni mu rodzice dopomagać, żądając sprawozdania z zadanej lekcyi, ewentualnie ją dopełniając.

Jeżeli taki uboczny udział rodziców w wykładzie religii w szkołach o normalnym i należycie postawionym wykładzie religii wystarcza (a, niestety, nie wszystkie są takie!),—tego powiedzieć nie można o wykładach historyi i literatury.

Przedmioty te, z natury rzeczy poruszające kwestye ściśle związane z dziejami Kościoła i dogmatami wiary, prawie nigdzie nie są wykładane przez katolików uświadomionych i konsekwentnych, tak że i przy dobrych chęciach niepodobna nauczycielowi nie wejść w kolizyą z katolicyzmem. A cóż dopiero mówić o wykładach, opartych na nieznajomości prawdy, zabarwionych wyraźną ku niej niechęcią?

Zdarza się najczęściej, że uczeń, słuchając profesora historyi w tem, co się tyczy roli, jaką w niej odegrał Kościół, uczy się poznawać go ze strony fałszywej, nawspak niejako,

i te pojęcia pozostają na całe życie przyrośnięte do jego mózgu.

Jakże rzadki o tyle sumienny nauczyciel, któryby wyrzekł się przyjemności powtarzania po raz tysiączny zdawkowych i oddawna zbitych aforyzmów, legend i oszczerstw, jakie protestanccy historycy w dobrej czy złej wierze nie przestają podawać za prawdę historyczną, a które profesorowie, na ich dziełach wykształceni, bezkrytycznie powtarzają. Gdzież jest gimnazista, któryby Jezuity nie poczytywał za wyobraziciela chytrości i obłudy,—któryby umiał odróżniać ekscesa i nadużycia inkwizycyi hiszpańskiej, będącej narzędziem politycznem w ręku królów, od trybunału, ustanowionego przez Innocentego III w obronie wiary, — któryby nie wierzył w istnienie Joanny Papieżycy i tym podobnym bredniom, dlatego że o tem z podręcznika szkolnego albo z ust profesora się dowiedział?

Obowiązkiem, naturalnie, kapelana fałsze te zbijać i błędy wykazywać, ale wykład dziejów powszechnych nie idzie równolegle z historyą Kościoła, i rzadko kiedy uczeń ma możność usłyszenia w porę argumentów strony przeciwnej. Mówię *w porę,* bo z czasem pogląd się spaczy zupełnie, błąd się zakorzeni, i argumenta najbardziej gruntowne nie trafią do przekonania.

Przychodzi mi tu na myśl znajomy obywatel z Litwy, który, umieściwszy synów swoich u Jezuitów w Chyrowie, śledził uważnie za ich systemem wychowania, za ich działalnością i wpływem i nic im do zarzucenia nie znalazł. A jednak przypuszczał, że Jezuici dawniejsi musieli być innymi, bo — risum teneatis!—Eugeniusz Sue w „Żydzie wiecznym tułaczu“ tak czarno ich odmalował! Ot racya i dowód, jak trudno pozbyć się pierwszych wrażeń młodości!

Otóż tu się wykazuje doniosłość wpływu matki, siostry, lub wogóle osoby, zajmującej się wychowaniem, która kontrolując postępy pupila swego, będzie mogła na zadaną truciznę znaleźć wraz odpowiednie antydotum. W tym celu głównie zaleciłem nieco wyżej obznajmienie się z dziełem „W pogoni za prawdą", które się bardzo do tego nadaje.

V.

Dotychczas mówiliśmy o posłannictwie niewiasty katolickiej w kółku domowem, rodzinnem. Oprócz tego może i powinna ona wpływać na społeczeństwo, na naród. A do tego nie potrzeba, ani żeby kończyła jaki wyższy zakład, ani żeby zajmowała urząd lub wybitne stanowisko, jak adwokata, profesora, lub członka parlamentu,—nie potrzeba nawet, aby dzielnie władała piórem lub żywem słowem. Są to talenta nie każdemu dane, a ja mówię o powołaniu przeciętnej inteligentnej niewiasty, zwłaszcza gospodyni domu i matki rodziny.

Wiadomo, że te ostatnie nadają ton towarzystwu, określają poziom przyzwoitości, granicę między tem, co uchodzi, a co nie uchodzi. W obecności kobiet, które postępowaniem swojem nakazują szacunek, najbardziej zepsuty mężczyzna nie pozwoli sobie na jakieś nieprzyzwoite koncepta, żarty, anegdoty lub nawet dwuznaczniki,—i w tem leży umoralniający i kształcący wpływ salonu, którym kieruje zacna, inteligentna matrona polska.

Z natury rzeczy wynika, że atmosfera takiego salonu będzie zawsze konserwatywna; ale przez wszystkie szpary i szczeliny wciskać się doń będą prądy z ulicy. Zadaniem pani domu—nie otwierać im drzwi skwapliwie, lecz poznać je wprzód i zbadać ich wartość, a w pewnych wypadkach drzwi przed nosem im zamknąć. Pani domu winna pamiętać, że

stoi na straży domowego ogniska, i że wszystko, co wrogie zasadom, jakich ognisko to jest obrazem, winno być stanowczo wykluczone.

Zdarzyło mi się posłyszeć w salonie z ust kawalera takie zapytanie, zwrócone do młodej kobiety: „Jakto? czyżby Pani wierzyła w dyabła?“

Interpelowana była wierzącą katoliczką. Otóż katechizm wyraźnie uczy, że część duchów dobrych zbuntowała się przeciw Bogu i przeistoczyła się w szatanów; że duchy te, powodowane nienawiścią Boga, chcą ludzi odciągnąć od Jego służby; że dla zniweczenia ich piekielnego dzieła Syn Boży stał się człowiekiem; że dozwolił Siebie widomie kusić szatanowi, dla utwierdzenia naszej wiary w jego istnienie, a przepowiadając swoje powtórne przyjście na Sąd Ostateczny, wyraźnie mówi o piekle „zgotowanem dyabłu i aniołom jego“. Są to prawdy elementarne, a zarazem podstawowe wiary naszej; nie znać ich, dowodem ignorancyi nie do wybaczenia w katolickiem społeczeństwie. Prawdopodobnie nie o to szło kawalerowi, ale chciał zadrwić z dyabła, a przezeń z wiary katolickiej, popisać się dowcipem, a panienkę zawstydzić.

Miała ona sposobność zniweczenia tych chwalebnych zamiarów i osadzenia napastnika na miejscu w wieloraki sposób: albo tą samą bronią, interpelując go np. „Czyliż Pan tak dalece katechizmu zapomniał, że o takie elementarne rzeczy mnie pyta?“ albo poważnem wyznaniem wiary: „Panie! jestem katoliczką i wierzę we wszystkie prawdy wiary, które Bóg objawił i przez Kościół do wierzenia podał; zdawać jednak egzaminu przed Panem, przyznam się, nie mam ochoty; to są rzeczy zbyt dla mnie drogie, aby o nich dla zabawki wspominać“.

Zamiast wystąpić śmiało, z otwartą przyłbicą do walki, panienka, z obawy aby nie być

poczytaną za zacofaną gąskę, bąknęła coś niewyraźnego, ale znać było, że czuje się zawstydzoną, i tym sposobem wyszła pobitą z areny.

Najpospolitszym tematem rozmowy salonowej są nowości beletrystyczne i teatralne, wśród których, niestety! tyle jest utworów, nie nadających się do analizy w przyzwoitem towarzystwie. Nie tylko o nich rozprawiać, ale nawet dyskusyi na ten temat dopuszczać w swojej obecności nie należy, bo każda dyskusya nadaje rzeczy wagi i reklamy.

Mam na myśli powieść Żeromskiego, zbyt, niestety! znaną, którą splugawił polską beletrystykę. Nie tylko ją rozchwytywano i obszerne w dziennikach recenzye pisano, w których można było wyczytać takie obelgi, że bohaterka tego brudnego romansu jest typem polskiej kobiety współczesnej, ale jeszcze urządzano symulowane na estradzie sądy nad jej bohaterami. A oto wyczytuję w „Gazecie Warszawskiej (Nr. 240 z 1 września 1911 r.), że „jeden z warszawskich przedsiębiorców kinematograficznych robi doskonałe interesa na inscenizacyi najbardziej drastycznych scen z „Dziejów grzechu". Obecnie p. J. Mori przerobił rzecz na scenę i przeróbka wystawiona została w teatrze Renesans. Pan Mori nie wchodził w drogę przedsiębiorcy kinematograficznemu, gdy bowiem pierwszy operuje wyłącznie niemal pornografią, autor przeróbki pominął szczęśliwie lub ukrył za kulisy najbardziej niemożliwe z punktu widzenia moralności sceny powieści".

Ogłoszenie to ma przynajmniej zaletę szczerości. Sprawozdawca nie drapuje się w togę estety czy artysty, ale naiwnie wyznaje, że szło tu o „zrobienie doskonałego interesu" z pominięciem względów natury wyższej. Zastrzega się tylko, że nowy przedsiębiorca nie chce wchodzić w drogę panu Mo-

ri „który operuje pornografią“. Zaiste! — naśladowania godne poszanowanie cudzego terytoryum, na którem rzecz tak wzniosła i pożyteczna, jak pornografia, specyalnie zarażać ma Warszawę.

Jednocześnie donosi jedno z pism prowincyonalnych o kabarecie-koncercie, którego dyrekcyą objął „rutynowany kabarecista polski, p. Pawłowski“, i po omówieniu szczegółowem części muzykalnej dodaje: „co zaś do p. Kalinowskiej, ta reprezentowała w onegdajszym kabarecie dział pornograficzny, jak się wyraził p. Pawłowski, bardzo udatnie i z powodzeniem imitując słynną divę kabaretową, Mery Mrozińską“.

Cyniczny spokój, z jakim się mówi o dziale pornograficznym, jako o integralnej niejako części kabaretu, dostatecznie określa i piętnuje charakter tego rodzaju przedstawień, które dla oszukiwania naiwnych przybierają nazwy *artystycznych* i *polskich*. W istocie, jeśli gdzie niema nic polskiego, to w tej importowanej z Francyi i po francusku nazwanej, a tak skwapliwie przez Warszawę małpowanej nowości!

Że na kabarety ani inscenizowane drastyczne powieści niewiasty, do których przemawiam, chodzić nie będą, to jeszcze mało. Wszelkie zło jest z istoty swojej ekspansywne. Pijak, rozpustnik, cynik potrzebują towarzyszów i świadków swej pijatyki i rozpusty i dążą do rozszerzenia koła swego wpływu i swojej działalności, — a z drugiej strony interes materyalny przedsiębiorców pcha do rozgłosu i reklamy tem niebezpieczniejszej, że zwykle zamaskowanej. Więc i do wnętrza najporządniejszych domów wciskać się będą echa i sprawozdania tego rodzaju sztuk i przedstawień. Gospodyni domu powinna w swoim salonie nie dopuszczać, aby o nich roz-

mawiano, poprostu nałożyć na nich bojkot milczenia.

Są utwory w literaturze francuskiej (Wolter) i włoskiej (Boccacio), o których się wspomina tylko w kółku fachowych literatów – nigdy w towarzystwie. Są zgromadzenia, kluby, stowarzyszenia, którym ustawa zabrania podnosić religijne lub polityczne kwestye. Nikomu z ludzi, obytych choć trochę z taktyką towarzyską, nie przyjdzie do głowy poruszania w rozmowie przedmiotu drażliwego, tyczącego się zbliska osobistych lub rodzinnych stosunków gospodyni domu, albo powtarzania krążących o tem po mieście gawęd. Dlaczegóżby podobnej restrykcyi nie miała prawa gospodyni rozciągnąć do innych przedmiotów, które za niewłaściwe uważa poruszać?

Dzieła pisarzy zaprzeczających bóstwu Zbawiciela świata, negujące jego istnienie lub zuchwale zniżające go do rzędu zwykłych reformatorów ludzkości, jako im równego, każdemu wierzącemu katolikowi, a nawet tylko chrześcijaninowi, muszą sprawić ból, wywołać oburzenie, jako bluźnierstwo, jako zuchwała napaść na ideały naszej duszy.

Jeżeli pod wpływem fałszywie pojętej tolerancyi i swobody słowa ktoś w domu katolickim na powagę tych autorów się powoła lub, co gorsza, na apologią ich sobie pozwoli, cóż słuszniejszego, jak w spokojnej ale stanowczej formie przywołać go do porządku, a w razie potrzeby ostro zgromić.

Może się zdarzyć, że obowiązek strażniczek wiary i moralności spadnie na barki bardzo młodociane—na barki uczennic pensyi.

Poglądy nauczycieli wykładających historyą i literaturę niezawsze się zgadzają z katolickim duchem. Obowiązkiem będzie uczennic prosić prefekta aby dał należyte faktów oświetlenie, a oszczerstwa historyczne napiętnował.

Głosy jakie się odzywały na odbytym przed paru tygodniami wiecu nauczycieli szkół średnich, domagając się bezwyznaniowości w szkole, wskazują grożące nam niebezpieczeństwo. Niechże rodzice dają na to baczenie.

Zdarza się też czasem że nauczyciel pozwala sobie na żarciki z prawd wiary lub rzeczy świętych. Jest to nadużycie stanowiska swego, przeciw któremu pensyonarki starszych klas reagowaćby powinny natychmiastowym protestem. Niechby choć jedna, śmielsza odezwała się: „Profesor zdaje się zapominać, że przemawiając do katoliczek w tak niewłaściwy sposób, obraża religijne nasze uczucia. Prosimy o zaniechanie podobnych wycieczek".

VI.

Przystępuję do najgłówniejszego, a zarazem może najskuteczniejszego sposobu powściągnięcia szkodliwych wybryków prasy i teatru.

Wiele tu może zrobić krytyka w dziennikach, piętnująca takie wybryki, i zdaje mi się, że w pismach, redagowanych dla kobiet lub przez kobiety, mogłaby i powinna być czujnie i konsekwentnie prowadzona. Do wszystkich innych argumentów przybyłby jeszcze ten, że tu kobieta polska broniłaby czci swojej i społeczeństwa od zalewu obcych, a bardzo szkodliwych narodowej tradycyi, żywiołów.

Przy energii i dobrej chęci możnaby się na coś daleko donioślejszego zdobyć.

W numerze 24 „Myśli Katolickiej" z 1908 wyczytuję:

„Przewodnicząca Ligi Niewiast Katolickich w Montevideo założyła Stowarzyszenie „Cenzury sztuki teatralnej", mające na celu nie dopuszczać na scenę przedstawień niemoralnych. Okazyą, która wywołała powstanie tego stowarzyszenia, było przedstawienie opery „Salome"; sztuka ta spotkała się z najwyższem oburzeniem i najenergiczniejszym pro-

testem ze strony katolickich kobiet urugwajskich. Cenzurę wyżej wspomnianą wykonywać będą trzy delegatki Ligi, prezes Katolickiego Związku Prasy i Prezes Klubu Katolickiego. Cenzura przeglądać będzie listę przedstawień teatralnych, i gdy znajdzie wśród nich sztukę niemoralną, uprzedzi o niej publiczność za pomocą dziennika katolickiego „El Bien", oraz przez afisze. Stowarzyszenie to rzuciło postrach na przedsiębiorców, którzy zażądali od niego listy sztuk potępionych, by je wykreślić ze swego repertuaru".

Niejeden z czytelników poczyta to za humbug lub za wybryk przelotny kółka oryginałów, który nie wytrzyma próby czasu. Odpowiedzią na te sceptyczne obawy niech będzie list pani Lagos de Hughes, przewodniczącej Komisyi cenzury teatralnej, do panny Frossard, sekretarki Ligi patryotycznej Francuzek, przytoczony w № 40 „Myśli Katolickiej" z tegoż roku:

„Dwa lata temu zorganizowałyśmy w Montevideo Komisyą cenzury teatralnej do walki ze wzrastającą wciąż niemoralnością sceny.

„Komisya składa się z sześciu członków, których obowiązkiem śledzić za ruchem teatralnym w Europie. Przewodnicząca i członkowie Komisyi odczytują sztuki, dramaty i komedye, a przestudyowawszy je gruntownie, sąd o nich wydają. Większością głosów sztuka uznana bywa za dobrą lub złą.

„W razie jeżeli afisze zapowiadają przedstawienie sztuki, którą Komisya uznała za złą, w dziennikach katolickich zjawia się następujące ogłoszenie: „Komisya cenzury teatralnej Ligi kobiet katolickich w Urugwaju podaje do wiadomości osób interesowanych, że sztuka, zapowiedziana na dzisiejszy wieczór, jest niewłaściwą".

„Należy zwrócić uwagę, że ostrzeżenie to podajemy po prostu do wiadomości; nie moż-

na więc nam zarzucić chęci wywierania nacisku na cudze przekonania lub krępowania cudzej woli co do uczęszczania do teatru. W rezultacie jednak usunęłyśmy prawie zupełnie z naszej sceny sztuki niemoralne.

„W czasach ostatnich, z przykrością wyznać muszę, najwięcej kłopotu sprawiał nam współczesny teatr francuski, który nas raził boleśnie; co gorsza, ogół nasz zaczął się pomału wciągać i nabierać gustu do tych sensacyjnych nowości teatralnych. Należało więc ostrzedz nieświadomych, że to są sztuki, których nie godzi się przedstawiać wobec uczciwej publiczności.

„Wielka trupa operowa przybyła tu ostatnimi czasy, mając w personelu swoim wiele różnych znakomitości z pomiędzy sławnych artystów, którzy drogo opłacać się każą. Zapowiedziano osławioną „Salome“ Straussa. Zawiadomiłyśmy impresario, że nie opłaci mu się przedstawiać tutaj sztuki tego rodzaju. Nie ośmielił się jej wystawić, co wywołało wielkie wrzenie w prasie antykatolickiej. Zarzucono nam ciemnotę, wstecznictwo, nieznajomość sztuki i t. d , lecz, mimo wszystko, nie zaprzestaniemy dalszej akcyi.

„Komisya przestudyowała już przeszło 600 sztuk, dramatów i komedyi francuskich, hiszpańskich i włoskich. Społeczeństwo z nią się juz liczy. Zawsze się znajdą tacy, co ją zwalczać będą, lecz większość rodziców i młodych małżonków wdzięczną nam będzie za trudy poniesione.

Inna trupa przybyła tu z repertuarem wprost niemożliwym. Na sześć sztuk aż pięć skazałyśmy na nasz indeks. W rezultacie teatr w połowie świecił pustkami“.

Z przytoczonych szczegółów mamy więc pojęcie i o sposobie prowadzenia walki i o

rezultatach. stwierdzonych dwuletniem doświadczeniem.

Dlaczegóżbyśmy czegoś podobnego sprobować nie mogli?

A nie potrzeba szukać wzorów na drugiej półkuli. Tu, bliżej, koło siebie, u naszych przeciwników nauczyć się tej taktyki możemy.

W siódmym dziesiątku zeszłego wieku Henryk Bornier napisał tragedyą „Mahomet“, w której twórca Islamizmu przedstawiony był, zgodnie z poglądem wszystkich historyków, jako wizyoner i oszust. Poprzedni utwór tegoż autora „La fille de Roland“ okrył go nimbusem wieszcza-patryoty, który po klęsce Francyi 1871 r. krzepił ducha swych rodaków Zapewne z tego powodu interesowano się nowem dziełem, które z wielkim przepychem miało się ukazać na paryskiej scenie. Zaszła jednak niespodziewana przeszkoda: Porta Otomańska, stając w obronie sponiewieranego przez giaurów proroka, zażądała wycofania sztuki z teatru, na co, powodując się kurtuazyą dyplomatyczną, rząd francuski przystał, choć ta grzeczność kosztowała go ze 100,000 franków jako odszkodowanie za zerwanie kontraktu.

Nieco wcześniej chrześcijanin, katolik, na progu kapłaństwa stojący, wydał książkę, odzierającą Syna Bożego z aureoli Bóstwa, obrażając przez to uczucia religijne milionów katolików i wogóle chrześcijan. Książka ta, przełożona na obce języki, nie przestaje dotąd chrześcijańskich zarażać narodów, a o bojkocie państwa lub rządu nie słyszeliśmy.

Kiedy z powodu toczącego się w Galicyi procesu o mord rytualistyczny, prasa powtórzyła jego wnioski, popierające oskarżenie, starozakonny poseł do Rady Państwa, Dr. Byk, zebrał aż dwadzieścia podpisów polskich, protestujących przeciw *insynuacyi.* A czy

widział kto choć jeden podpis żydowski w obronie zasady lub praw Kościoła katolickiego? W powieściach i operach, spotykamy karykatury duchownych, i paszkwile na nich, — i to nikogo nie razi ani oburza; ale gdyby ktoś rabina w niekorzystnem świetle wprowadził na scenę, w prasie, nawet nie żydowskiej powstałby hałas na fanatyzm średniowieczny, na jątrzenie klas, na sianie niezgody wśród braci jednej ziemi i t. d., a żydzi stanęliby solidarnie do walki. W Petersburgu na przedstawienie „Czarnych Kruków“ — zakupiwszy wielką ilość biletów — poszli ławą, i tupaniem i świstem zmusili do przerwania przedstawienia.

To samo powtórzyło się niedawno w Warszawie na przedstawieniu „Złotego Cielca“— Zalewskiego.

Ze strony naszej słyszałem o jednym tylko wypadku protestu publiczności w teatrze Polskim, przy wystawieniu „Nowych Aten“ — Nowaczyńskiego, w scenie, w której Amerykanin każe Polakowi na klęczkach całować sztandar Stanów Zjednoczonych. Poczęto gwizdać i scenę wyrzucono. Ale ta sama publiczność — drażliwa o swój honor narodowy w danym wypadku, obojętnie patrzy na znieważanie i brukanie sztandaru *katolickiego*, który przecie jest, i powinien być podstawową, integralną częścią *polskiego*.

Mam na myśli opery przez żydów napisane, a przez katolików oklaskiwane jako „Żydówka“—Halevy'ego, „Hugonoci“—Meyerbeera, i „Piękna Helena“—Offenbacha.

W pierwszej punktem kulminacyjnym jest arya Eleazara do córki Racheli, którą kardynał na stos skazał.

W „Hugonotach“—chór Dominikanów sfanatyzowanych, błogosławi miecze na rzeź w Nocy św. Bartłomieja.

W „Pięknej Helenie“—pogański arcykapłan ucharakteryzowany był na Papieża.

Do tej trójki kompozytorów żydowskich przyłączył się ostatniemi czasy—katolik Puccini—(opera „Tosca“), który na scenę wprowadził procesyą z biskupem na czele, a wedle pierwotnego włoskiego scenaryusza—z monstrancyą w ręku (sic!), nie mówiąc o ohydnej treści sztuki, która rzuca cień na rządy papieskie, wówczas jeszcze egzystujące, na co publiczność nasza szczęściem nie uważa.

A wystawienie Gromiwoi („Lizystraty“) — Arystofanesa w Teatrze Polskim, gdzie dzieją się sceny tylko do domu rozpusty kwalifikujące się? Opowiadano mi, że niektóre z obecnych pań, a może i panienek, obrażone w swojej skromności, chciały wyjść z teatru ale obawiały się zrobić skandal i koniec końcem pozostały, nie domyślając się, że tą swoją bojaźliwością właśnie zgorszenie wywołały.

Kiedyż nareszcie uczciwe niewiasty zrozumieją, że słuchanie lub czytanie rzeczy nieprzyzwoitych poniża je moralnie i hańbi? że od nich właśnie ojczyzna protestu i reakcyi się spodziewa?

Z otuchą w przyszłość notujemy fakt dowodzący, że poczucie tego obowiązku zaczyna kiełkować wśród Polek. Znana z talentu, oraz z opłakanego użytku jaki z niego robi, Gabryela Śnieżko-Zapolska napisała w 1913 r. „Kobietę bez skazy“, która przez cały miesiąc nie schodziła z repertuaru. Cenzura rosyjska, pomimo szerokości swoich poglądów etycznych, okazała się tym razem drażliwszą od poglądów warszawskiej publiczności, i wykreśliła parę zbyt jaskrawych ustępów. Mimo to pozostało w sztuce sporo pieprzyku naturalistycznego, na lep którego ciągnęła gawiedź.

Takie powodzenie „Kobiety bez skazy“ skłoniło p. Władysława Pola do zrobienia dobrego interesu, popularyzując sztukę na pro-

wincyi. Uzyskał w tym celu od autorki monopol na wystawianie jej w całem Królestwie Polskiem.

Na nieszczęście jego, a ku zaszczytowi niewiast polskich w Kaliszu, w Radomiu i w Kielcach pojawiły się niemal jednocześnie protesty ich opatrzone kilkudziesięciu podpisami, w których proszą pana Pola, iżby ominął ich siedziby, i „Kobiety bez skazy“—nie wystawiał. Wskutek tych protestów całe przedsięwzięcie zrobiło klapę.

Ta pierwsza próba bojkotu winna zachęcić do powtarzania go ilekroć nastręczy się sposobność; już pierwszy krok—zrobiony.

Cześć zacnym inicyatorkom, cześć Kaliszankom, Radomiankom i Kielczankom, a poniekąd wstyd Warszawiankom, które w szlachetnej walce o cześć niewieścią i moralność sceny wyprzedzić się dały!..

VII.

Jest jeszcze jeden bardzo znamienny objaw korupcyi moralnej, jaka szerzy się w sferach rodzinnych polskich; przeciwko objawowi temu nikt jednak dotąd nie probował reagować.

Od paru dziesiątków lat zagęściły się u nas pseudo rozwody małżeństw, zawartych w katolickim kościele, udzielone, nie przez właściwy i jedynie kompetentny konsystorz katolicki, lecz protestancki.

Dla otrzymania takowego potrzeba, iżby jedna przynajmniej strona dopuściła się apostazyi, zaparła się wiary katolickiej, a przyjęła obcą. Jeśli obie osoby, pragnące połączyć się nowym węzłem, są już skrępowane związkami małżeńskimi, wymagana jest podwójna apostazya i podwójne z obu stron krzywoprzysięstwo.

Dopuszczający się tych przestępstw nie mogą chyba nie czuć ich ohydy, ale, dzięki brakowi uświadomienia w zasadach wiary nawet wśród praktykujących katolików (o czem już wyżej wspomniałem), łudzą siebie i drugich zastrzeżeniem, „że to zaprzaństwo czysto formalne, że nie czynią tego z przekonania—owszem w głębi duszy katolikami pozostają,—ale że innego sposobu otrzymania rozwodu niema; potem zaś znowu otwarcie powrócą na łono Katolickiego Kościoła“. Zapominają w naiwności swojej, że ohydy zaprzaństwa tłómaczenie podobne zmniejszyć nie zdoła: leży ona właśnie w tem, że człowiek postępuje *wbrew* swemu przekonaniu.

Kościół Katolicki, sam jeden ze wszystkich wyznań chrześcijańskich, rozwiązania małżeństwa, prawnie zawartego, nie dopuszcza, a to, co zwykle „rozwodem“ nazywają, jest mianem niewłaściwem, bo „rozwieść, rozłączyć“ można tylko tych, co byli kiedyś „połączeni“, tymczasem rozwód katolicki jest to tylko uznanie nieważności ślubu „w chwili jego zawierania“ wskutek jakiejś przeszkody, czyli, innemi słowy, stwierdzenie, że małżeństwa „właściwie“ nie było i że akt ślubny, jako fikcyjny, stron obowiązywać nie może.

Od tej zasady — nierozerwalności związku małżeńskiego —Kościół nigdy nie odstąpił, nawet za cenę królestwa jak to było z Anglią za czasów Henryka VIII-go. Oczywiście, że nie uznając rozwodów u siebie, tembardziej nie może uznawać rozwodów kalwińskich, lub luterskich. Takowe w oczach wszystkich, po katolicku myślących, nie mają żadnej wagi, bez względu na to, czy strony zainteresowane po zawarciu przed pastorem nowego związku wrócą lub nie, na łono Kościoła Katolickiego. Taki bowiem powrót, jeśli ma być rzeczywistym, a nie formalnym tylko, możliwy jest jedynie przy szczerym żalu za popełnione przestęp-

stwo i dane zgorszenie, połączonym z chęcią naprawienia zła wyrządzonego.

W danym wypadku to naprawienie wyrazić się musi w zerwaniu wiarołomnie i świętokradzko zawartych związków przed pastorem, a powróceniu do katolickich, jako jedynie prawych.

Dopóki taka rehabilitacya nie nastąpi, „rozwódka" rzekoma, tytułująca się „żoną" drugiego, w oczach katolika będzie nie kim innym jeno „ulegalizowaną kochanką" i jako taka traktowaną być winna przez katolickie społeczeństwo.

Jeśliby taki rozwiedziony mąż pozwolił sobie przyjechać do uczciwego domu rodzinnego ze swoją „kochanką", choćby przez konsystorz protestancki „ulegalizowaną na papierze"—czy gospodarz domu miałby prawo posadzić ją przy rodzinnym stole obok swojej żony, matki, siostry i córki? Czy taką tolerancyą, a raczej brakiem zasad, nie wyrządziłby wielkiej krzywdy swej własnej rodzinie?

A jednak nie słyszałem, aby ktokolwiek miał odwagę zdobyć się na formalny protest. Za oczami oburzają się i potępiają, ale w oczy politykują, a z czasem wrażenie się zaciera i fakt idzie w zapomnienie.

Kiedy lat temu dwadzieścia kilka pan Zygmunt Węcławowicz, ojciec dwóch córek, rozwiódł się „poza sferą juryzdykcyi Kościoła Katolickiego" ze swoją prawowitą małżonką Stefanią ze Zdziechowskich i zawarł w zborze protestanckim nieprawy ślub z zamężną kuzynką, która także w podobny sposób potargała swe katolickie związki, — jeden z sąsiadów, p. K., oburzony tem, co słusznie mianował nieuczciwością i zaprzańshtwem, cofnął swą rękę przy spotkaniu się z nim w wagonie, za co został przez niego czynnie zelżony. Sąd honorowy

pod prezydencyą pana Br. R. przyznał poniekąd racyą obu stronom i tem zdjął ohydę z postępowania pana W.

Dziś ten człowiek, który winien stać pod pręgierzem opinii publicznej, zajmuje wybitne stanowisko wśród obywateli.

O! jak dalekośmy odbiegli w poglądach na etykę społeczną od Irlandczyków, wśród których mąż tak wybitny jak Parnell stracił cały swój olbrzymi wpływ na naród, skoro się dowiedziano o jego romansie z kapitanową O'Shea!

Mybyśmy powiedzieli, że sprawa i działalność publiczna nie ma nic wspólnego z moralnością prywatną, że nie jesteśmy bocianami, by świat czyścić i t. p.

Nie dziw, że przykład p. Z. W. zachęcająco podziałał na innych i coraz liczniejszych znajduje naśladowców.

Doszło do tego, że o zaprzaństwie wiary dla otrzymania rozwodu mówią jako o środku najzupełniej normalnym i godziwym, a przed paru laty Dr. Bogdan Puljanowski po dwudziesto-kilkoletniem pożyciu małżeńskiem porzucił swą żonę, a do znajomych i nawet do miejscowego proboszcza (sic!) rozesłał okólnik, zawiadamiający, że panna Z. winna być odtąd uważana jako jego „żona" i że ten jego związek będzie się starał jak najprędzej uprawnić.

Jakkolwiek w niesnaskach małżeńskich to jedna to druga strona winniejsza,— wogóle jednak mówiąc, żona najczęściej jest ofiarą rozwiązłości męża; ona to potrzebuje opieki prawa, zwłaszcza przy karmieniu i wychowaniu dzieci, którą jej, pod pewnym względem przynajmniej, zapewnia instytucya małżeństwa. Niesłychanego trzeba zaślepienia, aby w imię równouprawnienia domagać się rozwodów, któ-

re właśnie kobietom największą szkodę przynoszą, wydając je na pastwę wyzysku mężczyzny.

Mówię tu z punktu widzenia ogólno-ludzkiego, praktycznego. Ale jest jeszcze wzgląd wyższy—prawo Boże.

Małżeństwo ustanowione zostało przez Boga i następnie podniesione do godności Sakramentu, co też wyrażają słowa Rytuału: „Quod Deus conjunxit, homo non separet“. (Co Bóg złączył, człowiek niech nie rozłącza).

Zerwanie tego związku nie może więc zależeć nawet od zobopólnej zgody małżonków, tem mniej od samowoli jednego z nich.

W obronie więc i prawa Bożego i czci niewieściej i świętości domowego ogniska i troski o normalne wychowanie dzieci, powinny niewiasty polskie bojkotować tych, co ustawy kościelne łamiąc, wciskają się nieprawnie do domów rodzinnych, i wnoszą do nich ferment niszczący ich podstawy.

Bojkot ten ma zależeć na zerwaniu z tego rodzaju ludźmi wszelkich towarzyskich stosunków, na wzbronieniu im wstępu do uczciwych domów, na unikaniu zebrań, w których się z nimi spotkać można, na stanowczem piętnowaniu takich faktów, ilekroć o nich toczyć się będzie rozmowa, wreszcie na prowadzeniu i ogłaszaniu w dziennikach listy pseudo-rozwiedzionych żon i mężów, jak to się praktykuje w Poznańskiem ze sprzedawczykami ziemi ojczystej hakatystom.

* * *

Mówiąc o „lidze“ niewiast polskich w obronie wiary, czci niewieściej i dobrych obyczajów, nie mamy koniecznie na myśli stowarzyszenia urzędowego z prezesem, sekretarzem, protokółami i t. d. Wprawdzie organizacya stała byłaby wielce pożyteczną, ale kto wie, czy możliwą w obecnych warunkach.

Na początek dość będzie, gdy każda niewiasta polska, a zwłaszcza matka rodziny i gospodyni domu, weźmie do serca powyższe słowa, przejmie się piękną swą misyą i urzeczywistnić się postara to przynajmniej, co w danej chwili za możebne uzna, — a to przeświadczenie swe w zakresie znajomych swoich wytrwale szerzyć zechce, pomnażając takim sposobem liczbę kandydatek „Ligi“.

Czyń każdy w swojem kółku co każe
[duch Boży,
A całość sama się złoży.